Cena 6 h **Nadzwyczajne wydanie.** Cena 6 h

Nr 12 Kraków, niedziela 16 stycznia 1910 Rocznik IX

Redakcya i Administracya: Kraków, ul. Filipa 11. (Telefon Nr. 396).

Prenumerata miesięczna: z odsyłką **2 K**, bez odsyłki **1 K 60 h**, zagranicą 2 mk. 30 fen., 3 fr. 50 ctm., 2½ szyl., 70 ct. ameryk.

Prenumerata tygodniowa w Krakowie 40 h, z dostawą do domu 46 h.

Cena numeru **8 h.**

Adres na telegramy: **Naprzód Kraków.** Konto czekowe Nr 34.095.

NAPRZÓD

Organ centralny polskiej partyi socyalno-demokratycznej.

Wychodzi codziennie popołudniu z wyjątkiem niedziel i świąt.

Dział inseratowy: Kraków, ul. Marka 21. (Telef. Nr. 754).

Ogłoszenia (inseraty) kosztują od miejsca wiersza jednoszpałtowego drobnym drukiem (petitem) za pierwszy raz 20 halerzy, następnie po 10 hal. — **Nadesłane** od miejsca wiersza drukiem petitowym po 40 hal., śluby, zaręczyny i nekrologi po 80 hal. za każdy raz. — **Załączniki** (prospekty i t. d.) przyjmuje się za cenę 2 kor. za 100 egzempl. dla zamiejscowych, a 1 kor. za 100 egzempl. dla miejscowych prenumeratorów.

Reklamacye otwarte są wolne od opłaty pocztowej. — Redakcya rękopisów nie zwraca i bezimiennych listów nie uwzględnia.

Proces Borowskiej

Czwarty dzień rozprawy.

(Dokończenie).

Borowska zakończyła swoją obronę w następujący sposób:

Niejedeu powód miałam zatem, aby myśleć o samobójstwie, — nie ten, że Lewicki zamierzał się żenić z p. Tyszkiewiczową — takie zamiary powstawały i upadały w życiu Lewickiego 55 razy i więcej...

Ale poznałam, że zmarnowałam przyjaźń męża, — potem ciężka sytuacya na klinice, — świadomość, że mnie 10 razy ciężej skończyć medycynę, niż każdemu innemu, — że jeżeli nie skończę medycyny, to kto wie, kiedy ja sobie stworzę dom i wezmę dziecko i będę mieć prawo mieszania się do jego wychowania, — a dalej mężowi usunąć się z drogi karyery. — Tyle rzeczy złożyło się, aby mnie odebrać ochotę do życia. A także i chęć zapłacenia Lewickiemu.

Sprawa moja zaległa bowiem w najwyższym trybunale i tem chciał Lewicki wymusić oświadczenie przed sądem Ligi; pomyślałem sobie, że gdy mnie zabraknie, — sytuacya łatwiejsza dla tylu ludzi.

Wtedy mąż listy moje odbierze; przeczyta je — trudno, — ale w rękach Lewickiego nie zostaną.

W takich momentach w godzinie przeżywa się lata całe! Były minuty, godziny, dnie, w których było we mnie to, — były godziny, w których było we mnie coś nieskończenie różnego. Nie wiem, co mnie tam czeka, wiem tylko jedno, że tam lepiej, niż tu, że tam spokój i sprawiedliwość.

Ale znowu pojawiał się strach i zwierzęcy popęd do życia. Jeszcze uśmiechała mi się myśl, żebym ja sama wydobyła listy.

W takich warunkach przyszło do spotkania w ów pamiętny wieczór z 4 na 5 czerwca...

Przew.: W listach pani, ktore znaleziono w hotelu, niema dyrektywy do męża, żeby odebrał listy od Lewickiego.

Borowska: Myślałam zwrócić się o to jeszcze do p. Bujwida albo do p. Bogdaniego, albo do p. Mianowskiego.

Przew.: Kiedy pani pisała te listy pożegnalne.

Borowska: Na kilka dni przedtem.

Przew.: Proszę to zanotować. Pytam o to, bo pani złamała wtedy obojczyk i przez kilka dni nie mogła pisać.

Następnie odczytuje przewodniczący list Borowskiej do męża z 2 czerwca (cytowany w akcie oskarżenia).

Przew.: Czy pani przed kim nie odgrażała się, że zastrzeli Lewickiego?

Borowska: Nie, to mówi Bylicki, ale ja mu tego nie mówiłam.

Przew.: Nie wspominsła pani o tem, co było 3 czerwca?

Borowska: To nie było wtedy, ale kilka dni przedtem.

Przew.: Jak to było?

Borowska: Lewicki ciągle mnie się pytał, dlaczego chcę wzrotu listów. Czy może z powodu Tyszkiewiczowej? Ja o tem dowiedziałam się jeszcze w jesieni i było to dla mnie bardzo bolesne. Mąż wtedy chciał, abym wróciła do niego. Stał on się wtedy dla mnie najbliższym z ludzi, najlepszym przyjacielem. To nie jest wcale śmieszne, bo zaszło dużo w mem życiu rzeczy. Ja nie chcę i nie mam prawa się skarżyć, przeżyłam wiele pięknych rzeczy, ale niektóre przyszły za późno. Ja nie mogłam zapomnieć, że mąż stał się dla mnie dobry, ale to było za późno. Z listów, które p. przewodniczący wybrał do przeczytania...

Przew.: Nie ja wybrałem, ale akt oskarżenia zaproponował je do odczytania.

Borowska: Niech tak będzie. Wszystko więc przyszło za późno. Dziś mój mąż zrozumie, że wiele rzeczy nie było tak, jak powinno być..

Przew.: Odbiega pani od tematu. Jak było z potarganiem fotografii Lewickiego?

Borowska: Lewicki mówił mi, że Tyszkiewiczowa nie gra w jego życiu innej roli, jak jedna z 80 kobiet, o których tu mówiono. O mnie się wyrażał, że potrzebuję trochę pędu życiowego, aby być inną; potrzebuję trochę słońca i rozerwania się. Dlatego ciągnęło go do Tyszkiewiczowej, bo jest wesoła. Nie mówił, że ją kocha, owszem — obniżał ją.

Przew.: Proszę to zaprotokołować.

Borowska: Były chwile, kiedy mu wierzyłam i takie, że nie. Mówiłam mu: to mnie nie obchodzi, proszę mi oddać moje listy. Oddałam mu jego, a o moich mówił, że nie miał czasu wyszukać. Fotografię chciałam mu oddać, ale on powiedział, że pożałuję tego, że to robię tylko w uniesieniu. Dla udowodnienia mu, że tak nie jest, fotografię podarłam.

Przew.: Powiedziała pani, że pani zrobiła propozycyę wymiany listów. Kiedy to było?

Borowska: Nie przypominam sobie; zresztą wyraźnego układu nie było.

Przew.: Nie nalegam na odpowiedź. Przecież jemu powinno było więcej zależeć na wymianie listów, bo były dla niego kompromitujące, podczas gdy listy pani miały znaczenie tylko wobec męża. Jaki cel miało wydanie sobie listów, kiedy u pani znaleziono jego 3 listy?

Borowska: To stało się przez dużą nieuwagę.

Przew.: Nie wiem, ile listów pani pisała, ale znaleziono list bez podpisu i daty, pochodzący mimo to z ręki pani. Listu tego Lewicki nie otworzył, a sędzia śledczy znalazł go w jegu biurku.

Borowska: To jest list z listopada r. 1908 z prośbą, aby się ze mną widział.

Przew.: Listy Lewickiego, znalezione w papierach pani, z jakiej daty są?

Borowska: Z października lub listopada 1908 r.

Przewodniczący odczytuje je. Lewicki pisze: „Jeżeli przyjdziesz, będziemy sami, nieograniczenie sami“. Dalej: „Mam dziś bezmierną konieczność samotności“. Albo: „Dlaczego „Nowiny“ milczą?“

Przew.: 4 czerwca po południu przyszła pani do kancelaryi po listy. Czy mu je pani zwróciła?

Borowska: Nie, bo nie oddał mi moich.

Przew.: W śledztwie zeznała pani, że zwróciła mu listy wtedy, kiedy pani podarła fotografię.

Walka o protokoły.

Dr Szalay: Robi się ciągle zarzuty, że Borowska w śledztwie tak lub owak zeznała. Dla mnie zeznania te nie mają znaczenia, bo zeznawała w ogromnem napięciu ducha, prawie majaczyła. Jest to zrozumiałe, jeżeli się zważy, że przez 6 tygodni nie spała, gdyż była pod dozorem kobiety i światło świeciło się w celi. Dlatego na jej zeznania nie należy kłaść wagę i proszę o zapytanie Borowskiej, że do jej zeznań nie można przykładać wagi.

Przew.: Nie wiem, na jakiej podstawie obrońca zeznania jej nazywa majeczeniami. Konstatuję, że Borowska ma zupełną świadomość swych zeznań, gdyż nieraz zwracała mi uwagę na treść swych zeznań. Borowska z początku wogóle nie chciała zeznawać, aż wkońcu zdecydowała się odpowiadać na pytania.

Dr Szalay: Do każdego zawodu należy mieć praktykę, tylko o duszy ludzkiej może każdy wydawać sąd. Ja stoję na stanowisku, że protokoły są majaczeniem.

Przew.: To nie jest pańskie zapatrywanie.

Borowska: W czasie przesłuchania byłam tak osłabiona, że dopiero po zgaszeniu światła w celi przyszłam do siebie. Przesłuchania moje odbywały się wieczorem, kiedy i sędzia był zmęczony, więc w tych warunkach o dokładnem zeznawaniu mowy być nie może. Ja uważałam tylko, aby nic złego o Lewickim nie powiedzieć. Odpowiadałam tylko na protokoły i podpisywałam je bez odczytywania mi ich.

Przew.: Ja konstatuję, że są protokoły, a więc dokumenty urzędowe, z których nawet na niektórych nie ma podpisu, odmówionego z powodu niedokładności.

Borowska: To był protokół przerwany i spisany z pamięci.

Przew.: O nie, to nie był przerwany protokół, tylko całość. Może być, że niektóre protokóły są niedokładne, ale żeby wszystkie nazywać majaczeniami, kiedy pani tak dokładnie sobie przypomina ich treść.

Borowska: Proszę o przesłuchanie sędziego śledczego na fakt, że prosiłam go, aby mi nie odczytywał zeznań świadków. Mówiłam sędziemu: Co mnie to obchodzi — wolę zawisnąć na szubienicy. Ja trzymałam się taktyki, aby nic złego o Lewickim nie mówić, dopiero, gdy świadkowie zaczęli mi robić zarzuty, zdecydowałam się mówić, co wiedziałam.

Przew.: Skończmy tę dyskusyę. Ja muszę stanąć w obronie sądu. Jeżeli z policyi otrzymuje sąd wiadomość, że Borowska chce popełnić samobójstwo, musiano ją pilnować. Dopiero, gdy się przekonano, że o tem na seryo nie myśli, zerwano dozór.

Dr Szalay: Ja nie krytykuję sądu, ale jego niedogodne urządzenia...

Przew.: Ale nie tu w sali rozpraw. (Wesołość).

Na tem o godz. 12½ odroczono rozprawę do godz. 2¼.

Rozprawa popołudniowa.

Ostatni wieczór Lewickiego.

Przew.: Pani d. 4 czerwca po południu była w kancelaryi Lewickiego po odebranie listów. Czy oddał je pani?

Borowska: On mi powiedział, że niektóre wyszukał, innych nie, że najlepiej będzie, jeżeli szukać będziemy razem, a przytem chciał wytłómaczyć mi pewne rzeczy. Umówiliśmy spotkanie po godz. 10 pod „Sokołem“.

Przew.: O której godzinie pani wyszła z biura?

Borowska: Są godziny w życiu człowieka, których się nie liczy.

Przew.: Czy był kto w biurze wtedy?

Borowska: Mnie w śledztwie także pytano, czy kto był, a lampa gdzie stała itp. Ja takich rzeczy nie pamiętam. I w tej sali tak samo: co pan przewodniczący mówił rano, nie pamiętam, a mogę zapamiętać, że właśnie śnieg tam za oknem polatywał cichutko.

Przew.: Ja się o nic innego nie pytam, jak o to tylko, co pani sama zeznała w śledztwie.

Borowska: Przyszłam, siadłam, nie pamiętam, czy kto był; pamiętam, że przyszedł współpracownik „Głosu narodu“ Dąbrowski, brat koncypienta Lewickiego. Za chwilę Lewicki wyszedł ze swego gabinetu do mnie i powiedział mi, że nie wyszukał wszystkich listów, że najlepiej razem ich szukać będziemy i że chce się przy tej sposobności wytłómaczyć z pewnych rzeczy. Weszliśmy razem do jego pokoju. Ja mu nie oddałam jego listów, które miałam przy sobie. Miałam wrażenie, że w tymże czasie Dąbrowski był w gabinecie, a jakiś drugi człowiek czekał w przedpokoju.

Umówiliśmy się na 10 godzinę. Wprawdzie umówiłam się poprzednio z p. Jasińską i p. Mianowskim — p. Mianowski bowiem zobowiązał się na prośby męża nie opiekować się mną właściwie, ale czasem powłóczyć się ze mną; ja potrzebowałam czasem powłóczyć się na Błonia, nad Wisłę... On to źle zrozumiał i chodził ze mną do Dobrzyńskiej, na planty...

Pewnego dnia w świąteczne rano, gdyśmy razem wyszli, przyszło mi na myśl, że Lewicki taki przepracowany, że i jego trzeba zabrać na spacer. Poszliśmy po Lewickiego, ale on wymówił się, że bardzo zajęty; natomiast umówiliśmy spotkanie na obiedzie. Potem bardzo często spędzaliśmy wieczory razem w trójkę z p. Mianowskim i p. Jasińską, a czasem bywał i dr Bogdani. Było to nie dlatego, że ja chciałam szpiegować Lewickiego, lecz dlatego, że p. Mianowskiemu przyjemnie było spotkać się z p. Jasińską, a innego sposobu nie było. Otóż umówiłam się na ów wieczór z nimi i teraz przyszło mi na myśl: jak upozoruję, że przed godz. 10 rozstanę się z nimi? Wolałam więc nie pójść do nich, a że miałam listy Lewickiego przy sobie, a bałam się, że mnie będą szukali w hotelu, więc nie wróciłam do hotelu. Poszłam na kawę do Chmury, a potem na Błonia. Lewicki wiedział, gdzie ja się włóczę po Błoniach i powiedział mi, że jeżeli się uwolni, to o godz. 7½ odszuka mnie na Błoniach, a jeżeli nie, to spotkamy się o godzinie 10 pod „Sokołem“.

Przew.: Więc pani stanowczo twierdzi, że pani wyszła z mieszkania Lewickiego?

Borowska: Tak.

Przew.: Bo p. Bylicki był potem u Lewickiego, drzwi zastał zamknięte, a przez szyby w drzwiach widział światło.

Borowska: Ja byłam wtedy na Błoniach.

Opowiadanie Borowskiej o śmierci Lewickiego.

Przew.: Przyszedł zatem pod „Sokół“? Kiedy?

Borowska: Nie wiem. W każdym razie przed godz. 11. Szliśmy razem Wolską ulicą. Naraz on powiada: „ktoś tam idzie — socyaliści“ — wymienił nazwisko, którego nie pamiętam. Powiedział, że nie chce, aby nas widziano razem, więc przeszłam na drugi trotoar, ale pies Mruk szedł za mną, więc pod Uniwersytetem rozeszliśmy się, ja poszłam uliczką koło Chmury poza Uniwersytetem i zeszliśmy się na ul. Sławkowskiej. On teraz przyszedł bez Mruka, a brama była otwarta.

Gdyśmy weszli, zapalił lampę, zajrzał do skrzynki listowej, wyjął bilet z czarną obwódką; był przekonany, że to był bilet p. Zolla. W śledztwie dowiedziałam się, że to był bilet nie p. Zolla, lecz Bylickiego.

Rozmowę rozpoczął odrazu o Szczepańskim. Była to noc z piątku na sobotę, a w poniedziałek miał stanąć Bylicki przed sądem Ligi, aby zeznać. że moja deklaracya była wymuszona przez Lewickiego.

Lewicki mówił do mnie: „Co ja teraz powiem, co ja zrobię?“

Ja odpowiedziałam, że co najwyżej nie stanę przed sądem Ligi. I dopominałam się o listy.

Zaczęliśmy je wyszukiwać. On wyjął z szafki stos listów i dał mi je, żebym ja sama szukała, a on jeszcze gdzieindziej poszuka. W czasie tego szukania rzekł, że najlepiej spalić to wszystka. Ja na to: „Alež ja nie mam potrzeby tego robić, ja tylko swoje wyszukam“.

Były jeszcze w biurku kancelaryi jakieś listy, więc przeszliśmy tam, a właściwie do pokoju przytykającego. Była wtedy jakaś historya z lampą — nie pamiętam. Ja tam przy stoliku listy przeszukiwałam, a on z gabinetu przyniósł skrzyneczkę w stylu zakopańskim i przeszukał w niej listy.

Gdy wreszcie spostrzegłam, że niema wszystkich listów, on powiedział mi, że brak tych, które spalił. Prawda, że z początku mówił mi, że pali listy i mnie to samo radził, ja też spaliłam te jego listy, a te, które się zostały, przypadkiem zawieruszyły się. Ale uderzyło mnie jedno, że nie mógł spalić pewnych bajek, bzdurstw, które pisałam po rozprawie z Haeckerem, bo to nie były listy; nie mogłam uwierzyć, że spalił je i przyszło mi na myśl, że zapewne zachował je na lekturę z hr. Tyszkiewiczową..

Miałam zamiar oddać mu wszystkie jego listy, gdyby mi był oddał wszystkie moje. Ale gdy mi powiedział, że brak tylko tych, które spalił, ja postanowiłam, że także jemu wszystkich nie zwrócę.

Od kilku dni 3 listy jego i deklaracye miałam osobno zawinięte, więc je wyjęłam, gdy był w gabinecie i schowałam. Jemu zaś powiedziałam, że nie wierzę, iż spalił moje listy, zwłaszcza te bajki, które mogły być różnie tłómaczone, że i ja nie zwracam mu wszystkich listów. Oburzył się i zapytał: dlaczego? Odpowiedziałam, że nie wierzę mu. A kiedy on zaczął mówić, że ja mu przecież oddam, że żartuję — czułam, że może oddam, i aby się zabezpieczyć, powiedziałam, że ich nie mam, że były pisane nietylko do mnie, lecz także do męża, że je posłałam do męża. Otóż nie wszystkie listy mi oddał, ale i w aktach ich niema.

Przew.: Więc spalił je widocznie.

Borowska: Albo dał komuś innemu do przeczytania...

Przew.: Dlaczegoż zaraz najgorsze pani przypuszcza o nim?

Borowska: Następnie zapytał mnie ironicznie, czy ja to chcę przeczytać jeszcze raz i może zużytkować literacko. Ja odpowiedziałam: nie, byle nie były w jego rękach, przechowywać ich nie będę, mogę w tej chwili spalić. On na to rzekł, że można to uczynić zaraz. Więc ja zaczęłam je palić.

Przew.: Czy długo byliście już wtedy razem?

Borowska: Dosyć długo, ale która godzina była, nie wiem.

On powiedział, że też nie potrzebuje przechowywać swoich listów i zaczęliśmy je palić. Książkę Maeterlincka „Skarb pokornych", którą czytaliśmy razem, także rzuciłam w piec, cisnęłam też fotografię moją do pieca, ale on chwycił ją, gdy zaczęła się palić. W aktach jej niema, nie znalazła się widać.

On znowu wrócił do sprawy ze Szczepańskim. Ja odpowiedziałam, że najwyżej mogę nie pójść do Ligi. On na to powiada, że to będzie potwierdzeniem, a ja odpowiedziałam, że na to nie poradzę, że tak zeznawać, jak on chce, nie będę. Zaczął mnie wtedy pytać, dlaczego go chcę zniszczyć, utrącić, bo to ruina dla niego i nic mu innego nie pozostanie tylko zdechnąć, że ja przyczyniłam się do tego, pokazując Bylickiemu listy i deklaracye; dlaczego mam do niego tyle nienawiści, tyle żalu. Ja na to wydobyłam swoje dawne żale: Dlaczego za moje czyste złoto płacono mi „kamuszkami"? Dlaczego doprowadził mnie do kompletnej ruiny, że tyle rzeczy w mem życiu zmarnowałam.

On usprawiedliwiał się tem, że czasem na człowieka przychodzą złe, obce moce, ale to tylko chwile, a niestety wszyscy sądzą go po jego „chwilach".

A ponieważ moje zarzuty skierowane były ku jesieni, przeto i on mówił o jesieni, że wszystko to było prawdą, co wówczas było; cokolwiekby było dzisiaj, to przynajmniej tamto zostawić trzeba w spokoju, nie odzierać ze wszystkiego, pamiętać, bo to były rzeczy dobrze i piękne. Powoli przekonywało mnie to.

Była to jedna noc w mojem życiu, ale każda minuta odpowiada ogromnemu okresowi, w którym tyle się przeżyło!

Wtedy nie wiedziałam o nim nic złego, tylko to, co Bylicki mi mówił i co wyczuwałam — — tak, że mnie zupełnie przekonał — — wróciły wspomnienia — — Czy kłamstwem były te godziny, kiedyśmy razem czytali Słowackiego, Krasińskiego, kazania Buddy, gdy człowiek wżywał się w to — prawdą, prawdą było to wszystko!...

Gdy w sali sądowej miałam chwile, w których chciałam tylko walić i walić po łbie, to potem przychodziły godziły, w których pojmowałam, że wszystko mocniejsze odemnie i czułam tylko potrzebę wypłakać się... Pisałam: „Przy Twojej pieśni" — — prześlicznie śpiewał — czy to było kłamstwem? Gdy przypominał mi to wszystko, przekonał mnie, odżyły wspomnienia!...

Ale właśnie w takiej chwili on znowu przypomniał sprawę ze Szczepańskim: „ale do sądu Ligi pójdziesz". Gdyby był poczekał jeszcze pół godziny albo nic nie powiedział, może sama byłabym mu zaproponowała, że jeszcze raz zrobię za siebie kłamcę i zeznam, co on zechce. Ale gdy on to poruszył, pomyślałam: Aha, to wszystko dla tego tylko! I odpowiedziałam: Nie, nie pójdę, wszystko, co mogę zrobić, to tyle, że nie stanę, może nie będę żyła, może wprost tak nie stanę...

Wtedy on zaczął znowu przedstawiać mi, że to dla niego kompletna ruina, że to go utrąci, bo kiedy sprawa była w Izbie adwokackiej, on żądał interwencyi u Szczepańskiego, a Szczepański tembardziej podtrzyma zarzuty — więc grozi mu zamknięcie kancelaryi, koniec — nie — tylko zdechnąć!...

W duszy na dnie urodziła mi się myśl: jeżeli się dowie, że ja nic chcę nic zrobić, gdy zobaczy, że ja mu nie potrzebna — co on wtedy mi będzie mówił? Odpowiedziałam: Conajwyżej nie pójdę. Wtedy dopiero on wrócił do tego, że ja chcę tego, żeby zdechł. „Chciałaś kiedyś umrzeć razem — możemy teraz to uczynić". Odpowiedziałam: „Kiedyś — tak, teraz — nie; niema we mnie chęci umierania razem". Nie dowierzałam, czy to „razem umrzeć" powiedział na seryo, a miałam także ogromną obawę skandalu. Odpowiedziałam mu: „Po co mnie tak męczyć, a on tylko na to, żebym stanęła przed sądem Ligi! Jeszcze jedno błazeństwo! Ja się tak męczyć nie dam, pójdę!"

Nie wiem co było pierwej — błysk — huk, nie kłamię teraz — stało się coś, czego już ani w przybliżeniu nazwać nie umiem — potem zupełna ciemność, pustka, cisza — koniec świata — potem jakiś stuk — nie wiem — — potem młyn w głowie. — — Pierwsze, co usłyszałam, były to moje własne słowa: „Jezus Marya!", ale brzmiały mi, jak obcy głos...

Rzuciłam się do niego, ale nie zdaję sobie sprawy, co robiłam, później moje ręce były powalane krwią — — nie wiem, co robiłam. Potem podniosłam storę — zrobiło się jasno: on siedział... Wróciło mi troszkę spokoju. Przyszło mi na myśl zapalić lampę, skąd ją wzięłam, nie wiem, przyniosłam z kuchni — jak zapaliłam, nie wiem. Mówiłam, że ręce miałam zwalane krwią, może ślady krwawe w kuchni stąd pochodzą...

Kiedy wróciłam, siedział na wezgłowniku, jedną ręką oparty, drugą ocierał krew rękawem...

W pierwszej chwili miałam wrażenie, że nic się nie stało i znowu poczułam żal do niego. Nic mi się tak napewno nie zdawało, że to komedya, ale po co tyle strachu, skoro nic się nie stało?

Pierwsze słowa, które z ust jego usłyszałam, były: „A więc jednak nie błazeństwo". A ja widziałam, że siedział i pomyślałam: no, to się nic nie stało; myślałam, że się zranił, ale że to rzecz poważna, nie. Przyszło mi uczucie pewnej ulgi i żal do niego.

Przew. chce coś powiedzieć.

Borowska (szybko): Wiem, to potworne, ale mówię, co było we mnie.

Przew.: Inaczej zeznała pani w śledztwie. Niech pani mówi dalej.

Borowska: Zapytałam go, czy nie mógłby sam pójść do telefonu zawołać pogotowie ratunkowe, żeby mojego głosu nie słyszano, a ja pójdę sobie; prawą ręką odsunął mnie i rzekł: „nie sam", a za chwilę usunął się, lewą ręką ściągnął ze sobą poduszkę i przechylił się na podłogę. Ja zaczęłam sobie zdawać sprawę, że to rzecz poważna i chciałam go przenieść na sofkę. Ale on nie mógł się podnieść, a ja nie mogłam go podtrzymać, nawet w normalnym stanie nie miałabym na to siły, a wówczas miałam obojczyk niedawno złamany, który sprawiał mi jeszcze ból. Kiedy zrozumiałam, że go nie przeprowadzę na sofkę, chciałam przynajmniej podłożyć mu poduszkę. Wtedy on oddał mocz, zrobiło się mokro, usiłowałam go przesunąć ku szafie, on mi w tem pomógł, przysunęłam go tak, że leżał bliżej szaf na poduszce. Wtedy już nie było we mnie obawy skandalu, zgubiłam się; powiedziałam mu, że zrobię, co zechce, tylko niech żyje, że zatelefonuję po prof. Kadera.

On wtedy przytrzymał mnie jedną ręką i drugą szukał mojej ręki; oblany był cały ściekającą krwią; dostał wymiotów, a gdy mu chciałam pomódz, jakby bronił się; gdy przeszło, znowu była pilniejsza rzecz wziąć go stamtąd; on sam mi pomógł tem, że oparł się na łokciu; ale zesunął się przytem na podłogę, więc znowu go ułożyłam na poduszce, którą podparłam z obu stron drugą poduszką i wezgłownikiem, aby się z niej nie zsunął.

Poszłam do telefonu i zgłosiłam się do prof. Kadera. Wieki całe to trwało, zanim mnie połączono. Zgłosił się służący. Powiedziałam mu, aby obudził profesora. Wróciłam tymczasem. Lewicki był umazany krwią, więc mokrym ręcznikiem ocierałam mu twarz. Potem on już nic nie mówił. Gdy mu powiedziałam: „Zaraz będzie Kader, wszystko będzie dobrze", on nic, tylko pocałował mnie w rękę trzy razy, potem ją przysunął do ust. To był ostatni objaw jego świadomości.

Odbiegłam znów do telefonu, dzwoniłam raz, drugi raz, wreszcie zgłosił się prof. Kader, którego prosiłam, żeby przyjechał. On odpowiedział, żeby zatelefonować do pogotowia ratunkowego.

Zadzwoniłam do pogotowia; znowu wieki całe trwało, aż ulitowała się niewiasta z telefonu i nie wiem już, czy ona, czy ja wezwałam pogotowie...

Przew.: Pani zeznała w śledztwie podobnie, aczkolwiek w protokole pani znajduje się uwaga: „Wszystkie zeznania moje aż do strzału i rozbicia lampy są z prawdą niezgodne; zeznałam tak tylko ze względu na własną osobę". Wobec tego spodziewałem się, że pani dziś zezna co innego, a tymczasem to samo pani zeznała, co pani sama nazwała nieprawdą. Można zapomnieć niejedno, ale takie rzeczy wstrząsające wbijają się w pamięć...

W protokóle z 12 czerwca zeznała pani, że pani z początku spacerowała, potem pani przysiadła na ziemi, a on siedział.

Borowska: Ja nie wiem, co zeznałam w śledztwie. W śledztwie prosiłam o ciemność i samotność, choć w kaftanie bezpieczeństwa — nie dano mi tego — wkońcu pogroziłam, że się obwieszę — dopiero gdy się pokaleczyłam, dano mi to, o co przedtem prosiłam nadaremnie.

W koszuli.

Przew.: Czy Lewicki był ubrany, biedy mówił pani o sprawie ze Szczepańskim? — Pani przychodziły refleksye i wątpliwości, rozmowa była poważna. Otóż czy w ubraniu był on wtedy?

Borowska: O deklaracyi Szczepańskiego mówił zaraz z początku, potem chodziliśmy, paliliśmy listy, potem przyszły te przypomnienia... Ja nie pamiętam, przy jakiem słowie zdjął żakiet, rozwiązał krawat... Gdy mu już zupełnie uwierzyłam, wtedy słowa: „ale pójdziesz do Ligi" przyprowadziły mnie do przytomności.,.

Przew.: Ale znaleziono go tylko w koszuli!

Sztuczne zęby.

Przew.: Jakże rozmowę prowadziliście, skoro jego zęby znaleziono w szklance? Czy nie zauważyła pani zmiany w jego głosie?

Borowska: Wiedziałam, że on ma sztuczne zęby.

Przew.: Nie można mówić, gdy się wyjęło sztuczne zęby, trzebaby język przyzwyczaić.

Borowska: On umiał bardzo dobrze mówić bez zębów. (Wesołość).

Przew.: Wprawiał się?

Borowska: Nie, umiał.

Pies.

Przew.: Co pies robił przez ten czas?

Borowska: Nie wiem.

Przew.: Zeznała pani w śledztwie, że leżał na sienniku i że go pani zastawiła dwoma krzesłami, żeby nie przeszkadzał.

Borowska: Kiedy ja to zrobiłam? Gdy się krzątałam koło Lewickiego.

Przew.: Nie. Pani nie tak zeznała (czyta): „Aż do chwili krytycznej leżał, gdy padł strzał, zdaje się, zaczął szczekać". Zeznania pani są tak porozrzucane, że trzebaby założyć osobny spis do nich. Ja to wyszukam i przeczytam. Ale tymczasem niech pani nam powie, co się z psem stało.

Borowska: Przez cały czas nie leżał pies na legowisku, tyle wiem, że w pewnej chwili nie było go tam, gdy kocyk się zwinął; zdaje się, że szczekał w krytycznej chwili. Potem pamiętam go w trzech chwilach:

Gdy Lewicki siedział, pies łasił się, zaczął go lizać, ja wtedy klęczałam, i mnie po twarzy lizał.

Gdy Lewicki przy szafie leżał, znowu przyszedł, a ja go odegnałam.

A jeszcze potem plątał mi się pod nogi — nie pamiętam kiedy — przeszkadzał mi — ja go do kątka odegnałam i zastawiłam go dwoma krzesłami.

Przew.: Stróżka zeznała, że pies nie mógł tam leżeć, bo gdyby był widział, jak Lewicki leżał, byłby się na nią rzucił, gdyż tak był przywiązany do niego.

Borowska: Gdybym ja była strzelała.

Przew.: Pies nie wiedział, kto strzelił.

Rygorozantka medyczny.

Przew.: Pani jest rygorozantką medycyny. Widziała pani, że krew ze skroni się sączy. Więc chyba nie mogła pani wątpić, że to ciężka rana.

Borowska: Myślałam, gdy siedział, że to draśnięcie, sam ocierał sobie krew...

Krew i mocz.

Przew.: Dlaczego pani nie zaalarmowała sąsiedztwa?

Borowska: Na co sąsiedztwo? Ja udałam się po właściwą pomoc.

Przew.: Dopiero gdy mocz bezwiednie oddał, gdy wymiotował.

Borowska: Nie bezwiednie.

Przew.: Tak pani zeznała w śledztwie (odczytuje odnośny ustęp z protokołu).

Borowska: Pan sędzia tak ułożył, ja tak nie zeznałam.

Przew.: Tak pani zeznała. Na miejscu, gdy pani pokazywano wytarte miejsce na podłodze, zeznała pani, że kocyk przy przenoszeniu wytarł ślady krwi.

Borowska: Nie mówiłam o krwi.

Przew.: Nie? (Odczytuje dosłownie o krwi). Dopiero w tydzień później w sądzie przypomniała pani sobie i zeznała: „gdy on bezwiednie oddał mocz, podsunęłam mu kocyk, który wytarł krew".

Czy pani usuwała ślady krwi?

Borowska: Nie. Nie było krwi.

Przew.: Może ja mylnie rozumien pani sprzeczności, ale pani zeznała: „gdybym chciała upozorować samobójstwo, nie byłaby wycierała gąbką krwi".

Dr Szalay: Ależ to znaczy...

Przew.: Nie pan tu jest podpisany, tylko p. Janina Borowska, więc nie idzie o to, jak pan to rozumie, tylko jak ona to rozumie.

Borowska: Kto pozoruje samobójstwo, ten raczej nie wyciera krwi. Ja nie twierdzę, żem wycierała.

Przew.: Gdyby cała masa krwi została, znawcy mogliby orzec, w jakim czasie strzał nastąpił. Pani twierdzi, że o godz. 3; o godzinie $3^1/_2$ telefonowała pani do prof. Kadera. Jeżeli usunięta jest krew, nie można wiedzieć, czy tak było naprawdę.

Borowska: Że ja wytarłam krew — masy krwi — na jakiej podstawie się to twierdzi? Mówi się: plama na podłodze; ja wyjaśniam, że to była mocz — jeżeli mi ktoś nie wierzy... Niema pewności, ani śladów, tylko hipoteza, że małą gąbką wytarłam masy krwi. Niema granic dla przypuszczeń, prawdopodobieństwo jest tak szerokie, jak mózg każdego człowieka.

Przew.: Prawdopodobnie... Jednak musiały być wycierane ślady krwi. Lewicki leżał głową do szafy, a był to mężczyzna duży, więc o znaczną odległość od szafy mocz musiał oddać, a plama na podłodze jest przy szafie.

Tu się złapała!

Borowska: Ależ ja go potem dopiero bliżej przysunęłam do szafy.

Przew.: To jeszcze gorzej dla pani! W takim razie musiałaby jeszcze dalej od szafy być plama na podłodze, a jest ona tam, gdzie wymiotował, gdzie leżała jego głowa!

Mówi pani, że koc wytarł krew; ale koc nie bibuła, nie mógł przecie zebrać całej krwi?!

Borowska: Nie wiem, czy była krew.

Przew.: Musiała być!

Krew w kuchni.

Przew.: Nie umiała pani wytłómaczyć w śledztwie śladów krwi na tekturze w kuchni przy piecu.

Borowska: Nie wszystkie listy zwróciłam Lewickiemu, deklaracye i odnośne listy zatrzymałam. Po strzale — nie wiem kiedy — przyszło mi na myśl, że za to są te listy odpowiedzialne, więc spaliłam je w piecu kuchennym. Może stąd te ślady krwi.

Przew.: To były kreple krwi. Musiała pani mieć bardzo skrwawione ręce, bo to kapało z pani.

Borowska: Nie.

Skąd rany na głowie?

Przew.: Czy Lewicki runął po strzale?

Borowska: Ja nie wiem — — ciemność — pustka. —

Przew.: Zapaliła pani potem lampę?

Borowska: Tak.

Przew.: Siedział? Czy ciskał się?

Borowska: Starałam się go podtrzymać.

Przew.: On ma rany na głowie, widać, upadł. Borowska: Nie wiem.

Skrwawiony koc.

Przew.: Koc jest skrwawiony krwią nie u brzegu, lecz w środku.

Borowska: Był cały odziany w koc, gdy strzelał, potem rozrzucił — potem już nie wiem, w jakiej sytuacyi — przykryłam go — czem, nie pamiętam.

Przew.: Dziwne to, skąd koc nie u brzegu, lecz blisko środka przesiękniąty krwią. Nie tam, gdzie rana.

Borowska: Tam, gdzie krew ściekała. Gdy siedział po strzale, koc był odrzucony.

Czemu nie wezwała odrazu pogotowia.

Przew.: Pani jako rygoryzantka medycyny dobrze wie, co znaczy strzał w skroń, a nie wie pani, że trzeba w takim razie zaraz wezwać pogotowie ratunkowe? Pani do pogotowia nie daje znać, tylko do Kadera, wiedząc, że spał, — a tu życie ludzkie na włosku, wszak musiał się ciskać i dlatego zranił się w głowę.

Borowska: Właśnie Kadera wezwałam dlatego, że szło o pośpiech. Na stacyi ratunkowej są słuchacze z V. i z III. roku medycyny. W poważnym wypadku nic nie poradzą, przewiozą do szpitala, gdzie także trzeba budzić. Myślałam, że Kader przyjedzie zaraz z narzędziami i umiejętną pomocą. Ponieważ niedawno w sprawie mego obojczyka byłam u Kadera, numer telefonu miałam w pamięci.

Przew.: Właśnie prof. Kader odesłał panią na pogotowie!

Dramatyczna scena.

Przew.: Pani sobie zdawała sprawę, że jest poważna sytuacya, a nie zaalarmowała pani sąsiedztwa! Zdawała pani sobie sprawę, że z powodu deklaracyi Lewicki — jak pani twierdzi — odebrał sobie życie, że więc pani pchnęłaś go do samobójstwa. I nie zaalarmowałaś pani sąsiedztwa? Mówi pani, żeś pani to uważała za draśnięcie! Któż pani to dziś uwierzy? Trzeba było wezwać sąsiadów właśnie na to, aby przed nimi zaświadczył: ja to sobie sam zrobiłem! (Huczne oklaski na galeryi i w sali).

Dr Szalay żąda opróżnienia galeryi, mówiąc o tych oklaskach: „to zwyrodnienie", co wywołuje głośny protest ze strony publiczności.

Przew.: I mnie irytują oklaski, ale niech pan obrońca mnie nie wyręcza.

Patron browninga.

Przewodniczący demonstruje przysięgłym browning i objaśnia:

Browning wyrzuca patron na prawo; jeżeliby Lewicki sam był strzelił siedząc, browning byłby wyrzucił patron na pokój sypialny, tam gdzie pianino. (Przewodniczący pokazuje plan sytuacyjny przysięgłym). Na miejscu robiono próby strzałów. Tam są naznaczone miejsca, gdzie padały patrony w tej pozycyi. Gdy strzelano do leżącego manekina, wszystkie patrony padały pod szafę, tam gdzie rzeczywiście patron znaleziono.

Co mówiła Kurylukowi.

Przew.: Czy mówiła pani medykowi Kurylukowi, żeby nie mówił, że panią tam zastał? Borowska: Mówiłam.

Przew.: To pani o to tylko szło, żeby pani się nie skompromitowała?

Borowska: Jasno już było... przed domem stała zgromadka ludzi... Myślałam, że będzie tylko wzmianka w dziennikach. (Szmer zdziwienia).

Ciemno w pokoju.

Przew.: Czy pani zabrała po strzale światło z pokoju? Gdy pogotowie przybyło, w pokoju było zupełnie ciemno, a Lewicki prężył się i charczał.

Borowska: Nie pamiętam. W kuchni było jasno.

Przew.: Z kuchni pani przyniosła lampę i postawiła ją na umywalni, że nic widzieć nie mógł.

Borowska: Obmywałam go w ciemnościach, lampa była w kuchni.

Przew.: O godz. 4 rano było już jasno na dworze, ale obydwie story były spuszczone i w pokoju było całkiem ciemno. Udamy się w stosownej chwili na miejsce i panowie przysięgli sami to zobaczą.

Przew.: Ja mam jeszcze jedno pytanie: Czy pani po strzale paliła papiery?

Borowska: W kuchni — tak.

* * *

Na tem przewodniczący zakończył swoje pytania. Ponieważ prokurator zrzekł się pytań, przeto do pytań przystąpił dr Kłębkowski, który przedłożył **sensacyjne nowe dowody, świadczące przeciw Borowskiej.**

Podamy je dokładnie w poniedziałkowym numerze.

Wydawca: **Ignacy Daszyński.**
Redaktor odpowiedzialny: **Maryan Pyrzowski**
Z Drukarni Ludowej w Krakowie.